

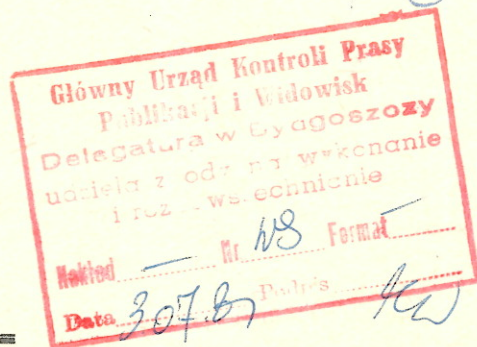
Henri BARBUSSE

Red. Literacka

przekład z francuskiego:
Manna STEC-WOJCIESZYK

Data: 5 lipca 1981 r.

Godz.: 16,05 - 17,30



O B C Y
=====

Zdarzyło się to podczas wojny: w 1916 - w zapomnianych już czasach. Nie mówili nic. Nie mogli, ani jeden, ani drugi, ilu ich tam było w tej bogatej kuchni.

Trzej żołnierze przybyli do miasteczka na kwatery, siedząc w kuchni łokieć w łokieć, starali się możliwie jak najmniej rzeczy zabrudzić błotem i możliwie jak najmniej straszyc swoim wyglądem ludzi, którzy bez żadnego powodu przyjęli ich tam uprzejmie.

Zobaczymy, co się wydarzyło: Cały pułk powracający z okopów napełnił miasteczko chrzęstem żelaza. Nad miasteczkiem, jak luksusowe wieko, górował zamek. I w tym właśnie zamku oni się znajdowali

Nie mieszkali tam, lecz zostali zaproszeni. W rzeczywistości po złożeniu broni i plecaków w szopie wyznaczonej jako mieszkanie dla ich oddziału /była otwarta na wiatr i wodę i przypominała raczej korytoko zdecydowali - Triadoux, Pouillon i Pepet przejść się nieco przed myciem i pisaniem listów. Wyszli na dwór, aby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, odpocząć maszerując ulicami tak,

jak to czynią ludzie wolni.

Kroki zaniósł ich w pobliże budynków gospodarczych zamku i kazano im wejść: był tam szofer, pokojówka, starszy syn ogrodnika, potem przyszły córce dozorczyni. Podano im w szklankach wermut, to dziwaczne wino, które ma smak przypraw.

I przyglądano się im.

Byli pokryci szarą skorupą, która nadawała im wygląd istot gruboskórnych, a ich oczy przypominały okna. Nawet Pepet miał w sobie coś ze słonia, chociaż, w gruncie rzeczy, był prawie tak chudy, jak jego własny szkielet. Ale trzeba byłoby być archeologiem, żeby dokopać się prawdziwego ich kształtu pod ową straszliwą skorupą.

Zajmowano się ich oglądaniem, a oni interesujące okazy zajmowali się, jeżeli można tak powiedzieć, tym, że byli oglądani. Nie padło wiele słów w tej kuchni czystej i przestronnej o pobielanych ścianach, o kątach tak prostych, jak grzbiety książek, błyszczącej miedzią i aluminium. Żołnierze spuścili głowę, a poły ich wojskowych płaszczy jak drewniane skrzydła leżały na zapastowanej posadzce.

W oddali słychać było dokoła, jak grzmia z wielkim, podnie-
bnym hukiem działa i jeżeli ci ludzie wojny mówili coś, to prze-
prasjali, być może, za ten hałas.

Otóż do zamienionej w ZOO kuchni zeszła panna Klotylda,
córka hrabiego i hrabiny z zamku, dziewczyna o oczach łagodnych
i życzliwych. Miała około 20 lat, jak rekruci z 1915.

Na to feeryczne pojawienie się młodej pani, służba podniosła
się jak jeden mąż. Trzej żołnierze uniesieni wspólnym ruchem,
podnieśli się do połowy, po czym opadli pod swym naturalnym
ciężarem - a w ~~międzyczasie~~ ^{tytuł} można było zobaczyć, że ich wilgoć
starła nieco połysk z krzeseł z wywoskowanego drewna.

Dziewczyna zbliżyła się do nich. Szofer, barnum, wymowny,
jak polityk i jak wszyscy barnumowie dumny ze swych słów, który
był au courant sprawy, przystąpił do rzeczy:

Pięćdziesiąt razy szli do szturm. W ich pułku, który ma
pięć tysięcy ludzi, trzy tysiące już zginęło. Ci, którzy są
w pułku od początku, po sześć razy byli skazani na śmierć.

To, co mówił szofer, przywoływało inny świat, zaledwie
muskający ten tutaj, świat nieznanym wcale tym, którzy w nim nie
byli, świat, gdzie ludzie ginęli w ciągu pięciu minut. Realna

obecność tego świata istniała tam przez chwilę, jak gdyby ściana kuchni była zasłoną unoszącą się nagle nad teatrem rzeczy. Trwało to chwilę krótką jak oddech. Niemożliwością jednak było nie zrozumieć otchłani piekielnej grzmotu i krwi i tego, że ci pozostali przy życiu byli dziwnymi istotami, które przetrwały jeszcze w owej niemożliwej walce człowieka ze śmiercią i cudami jednocześnie.

Trzydzieści miesięcy przeżyli wśród miliardów kropeł żelaznej ulewy. Kiedy jedna kropla cię dotknie, stracisz kształt, pogrążysz się w ziemi i pozostaniesz tam ~~aż~~ po wsze czasy. Nic nie jest doskonałe i wystarczy tylko jedna kropla. Ci, którzy chwilowo znajdują się tutaj, jedną nogą są we wspólnym grobie.

Dziewczyna rzekła:

- Biedni ludzie!

Ale z chwilą, kiedy to mówiła, poczuła, że to nie było to, co należało powiedzieć.

Żołnierze nie odpowiedzieli. Siedzieli uprzejmie, na baczność, jeżeli tak można powiedzieć, na swoich krzesłach, Patrzyli tylko na młodą twarzączkę świeżą i łagodną, na której zamarł wykwitający uśmiech.

Oczywistym było, że to życzliwe zdanie było rzeczą zbyt

małą i że nie oddawało prawdy. Jak trudno jest mówić! To przecież
takie proste. Oni są tam, widoczni, i ich los również jest widocz-
ny. Ale dlatego właśnie, że to takie proste, jest to trudne.

Ona zaczęła bać się tych idących na śmierć, zatrzymanych
tu na swej drodze, spuściła głowę i wyszeptała:

- Jesteście bohaterowie.

Oni również nie odpowiedzieli, nie wyrazili niezadowolenia. Usły-
szeli i wyglądali tak, jakby nie zrozumieli. To słowo także do
nich nie dotarło.

Gdyż oni nie byli bohaterami. O tak, gdyby chcieli, przypomnieliby
sobie w końcu podobne czyny wojenne ludzi Plutarcha czy innych,..
~~które miały miejsce to tu, to tam.~~ Ale trzeba być szalonym, żeby
powiedzieć bohater.

Pepet przeszukał kieszenie, aby znaleźć chustkę. Odchyliwszy
się ~~do tyłu~~ na krześle, z wyciągniętą nogą, rozchylając jak wrota
sztywną połę swego płaszcza, wyjął z kieszeni chustkę, następnie
sznurowadła, zapalniczkę i Krzyż Walecznych.

Ich bohaterstwo, to był ów drobiazg, który nosili w kieszeni.

Trzeba było zatem znaleźć coś innego, niż tamte biedne
słowa.

Przyjrzano się im dokładniej. I zauważono, że nie wyszli tak całkiem nieposzkodowani z tej szalonej podróży przez ulewę. Byli przecież nieco pokaleczeni i nieco zawszeni, od trzydziestu miesięcy.

On, na przykład, jego lewy profil był draśnięty przez kulę i zagojony w sposób mniej lub bardziej podobny.

- Podziwiam was - zaryzykowała dziewczynka.

Trzy głowy ożywiły się nieco. Pierwsza zrobiła wysiłek, żeby zwrócić niepokiereszowaną stroną twarz pozszywaną przez chirurga.

Druga uniosła się nie bez trzasku: na koniec z huraganową siłą wystawiła się na przeciągi. Trzecia składała i rozkładała nogę zdrętwiałą z osłabienia, którą bezruch zamienił w kość /kiedy się odpoczywa, jest się straconym/.

- Żal mi was! - powiedział głosik.

I natychmiast po tym, jak ktoś, kto popełnił błąd, powiedziała:

- Przepraszam!.

Ciekawa rzecz, w chwili kiedy prosiła o przebaczenie nie mogąc powstrzymać się od okrzyku: Żal mi was! Pepet zakasłał, Pouillona przebiegł dreszcz gorączki, a kącik ust na twarzy Triadou wykrzywił się sam.

Ona chciała powiedzieć coś innego, gdyż ten motylek był dzielny i miał odwagę. Chciała powiedzieć: Wypełniliście wasz obowiązek Francuzów i... Ale zdanie to brzmiało tak fałszywie, że nie przeszło jej przez wargi. - i wszyscy widzieli, że słowa uwięzły jej w gardle.

I tak ozłocona przez swe wysokie urodzenie dziewczeczka stała z otwartą buzią przed prostaczkami bożymi, obdartymi wielce przez nieszczęście, którzy w tej chwili siedzieli na krzesłach w kredensie, ale którzy wczoraj byli i jutro będą oprawcami. I skazanymi.

Służba stała dokoła, jak bezkształtna publiczność.

Młoda pani spróbowała dzielnie jeszcze raz:

- Panowie...

Potem.

- Przyjaciele...

Ale oni nie byli panami, a jeszcze mniej byli przyjaciółmi.

Oni bardzo chcieli wtącić stosowne słowo, ale nie mogli.

Były większe od nich, wrosnięte całkowicie w tę ich ~~klęsk~~ klasę cierpienia.

I tak toczył się ów dialog, który nie był dialogiem, i który ukazywał dramat nie ~~posiadający~~ ^{mający} zwyczajnej ~~■~~ formy dramatu

- gdyż było to przypadkowe, niezłośliwe spotkanie dwóch gatunków istot, z których każdy stał na innym krańcu życia.

Jednakże, jako że należało coś powiedzieć, Pepet otworzył usta i rzekł:

- Tak.

I słowo to pozostało, zawieszona ciężko, jak słowo stamtąd!

Triadoux wstał, ale dlatego, że był to mement wyjścia i powiedział,

~~ale~~ żeby coś powiedzieć:

- Trzeba wracać do obory. Idziesz?

To nie była nawet obora, tam gdzie nocowali, ale była to nazwa, którą dawali z przyzwyczajenia.

Wycofali się tyłem, w ukłonach, krzywe refleksy w przepychu tej kuchni. A ona, ona uciekła zawstydzona, ze łzami w oczach.

Na wspaniały, podeście spotkała pewnego pana, dobrze ubranego i dobrotliwego.

- Widziałem żołnierzy.

- To są tacy sami ludzie, jak my - zapewnił ów pan filozoficznie.

- Nie - powiedziała - ponieważ nie można z nimi rozmawiać.

"Rzekłbyś, że między nimi i nami istnieje plama, której nie można wymazać".

Wstydziła się tego wyznania. Mówiła z odrobiną melancholii i z wielką dozą przerażenia. I czuło się doskonale, że to przerażenie, gdyby była starsza i mniej czuła, przekształciłoby się w nienawiść.

"Istnieje świat ludzi, który jest światem wojny, a nad nim, świat pięknych domów, które ^{mejs} posiadają drzwi grube jak kasy pancerne, gdzie kuchnie są tak wspaniałe, jak Raplice". Inny świat, inny kraj, zamieszkały przez ludzi o nieznanym twarzach".

Pepet myślał o tym niewyraźnie i po stu krokach milczenia złączonych z kompanami, wyraził słowami prawdę wspólną wszystkim trzem:

- Jak można chcieć rozmawiać, kiedy się nie mówi tym samym językiem

- Dalibóg! - odpowiedzieli.

- Oto nasz zamek - powiedział Triadou, który znów stał się rozmowny. Przed szopą wznosił się rodzaj kurnika, z którego kury już dawno poszły z dymem. W kurniku zamkniętym drucianą kratą, był zamknięty człowiek. Był to jeniec niemiecki, którego oddział ciągnął za sobą. Zbliżyli się do niego. Obok znajdował się inny Męczycyna, uzbrojony, z karabinem i bagnetem. Strażnik ten siedział na pniu, gdzie ongiś ścinano głowy kaczkom i z karabinem między

nogami, palił fajkę.

Więzień zbliżył się również, z rękami na wilgotnej kracie.

Był w łachmanach, pomarszczony i brudny, z wiekiem startym z twarzy i miał dokładnie ten sam uniform, co oni: zeschłe błoto.

Pepet wsunął rękę przez dziurę w kracie i poklepał go po ramieniu. Mężczyzna uśmiechnął się jak dziecko. Usiłował coś powiedzieć, w tym niemożliwym do zrozumienia charkocie, jakim jest niemiecki. Zaczęli się śmiać, kiedy usłyszeli ten niemiecki, potem śmieli się, zacierali ręce, gestykulowali, zadowoleni.

- No, stary, nie przejmuj się!

Wyciągnęli do niego, przez otwór, trzy ręce, które on uścisnął, podczas gdy stary strażnik z wojsk terytorialnych, patrzył na nich i wyglądał zupełnie, jak ojciec rodziny.

Weszli do swojej budy podobnej do kałuży.

Pozbyli się swego ogromnego ciężaru i rzekli:

Przynajmniej tym razem znaleźliśmy kogoś, kto mówi tym samym językiem.